

Maciej Olszewski

szpiegowskie skrzydła nad Poznaniem

Z TAJEMNIC LUFTWAFFE (1)

Ostatnia przedwojenna Wielkanoc przypadała na 9 i 10 kwietnia. Dni były ciepłe, słoneczne. Atmosfera polityczna skrajnie odmienna. Hitler, dokonawszy w połowie marca likwidacji pomonachijskiego kikutu Czechosłowacji, wziął się już do „rozwiązania problemu polskiego”. Hitlerowscy dekoratorzy przygotowujący stoisko Trzeciej Rzeszy na majowych otworzyć swe podwoje w końcu kwietnia Międzynarodowych Targach Poznańskich, malowali już prowokacyjnie pasek zaplanowanej przez Hitlera autostrady przez ziemię Polski. W witraż z sylwetką Gdańska wkomponowali flagę ze swastyką.

Zresztą od 25 marca, wobec koncentracji wojsk niemieckich w pobliżu granicy Polski, także strona polska podejmowała wreszcie pewne kroki obronne. Na teren Poznań-

skiego przerzucono z głębi kraju część jednostek, mających wejść później w skład Armii Poznań.

Właśnie w wielkanocny poniedziałek dziesiątego kwietnia 1939 roku, z podberlińskiego lotniska Schoenefeld startuje dwusilnikowy He 111. Samolot szybko osiąga pułap 700 metrów. Jest właśnie nad Koeppenick, kiedy wprawna ręka pilota skierowuje go na wschód, w kierunku powietrznego, którym dwa razy tygodniowo leca samoloty „Lufthansy”, utrzymujące regularną komunikację lotniczą Berlin — Poznań — Warszawa. Już po niespełna pół godzinie, znający tę trasę na pamięć, dostrzega łańcuch nadgranicznych jezior.

Co prawda na ten dzień nie jest zaplanowany lot tą linią komunikacji międzynarodowej, co więcej, samolot nie jest obsługującym zwykłe tę linię pasażerskim HE 111 C-O. Jest bojowym samolotem He 111 K. Jedynie w konstrukcyjnych założeniach podobnym do swego komunikacyjnego prawozoru. W rzeczywistości rozwinięty w jeden z najlepszych AD 1939 wielozadaniowych samolotów Luftwaffe. Pod względem szybkości równorzędnym, polskim myśliwcom P 11-C. Mogącym zabrać do dwóch ton balastu bombowego, uzbrojonym w pięć kaemów, posiadającym też pełne wyposażenie współczesnego samolotu dalekiego rozpoznania. Zgodnie zresztą z tym, przeznaczeniem na charakterystyczne wiecietych płatach oraz kadłobie czernieją nie litery, lecz — jak przystało na sprzęt Luftwaffe — czarne krzyże, zaś na sterze kierunkowym — swastyka.

Mimo to samolot przelatuje granicę i utrzymuje niezmiennie kurs na wschód. Dopiero przebywszy 75 kilometrów nad terytoriami Polski, już nad samym poznańskim lotniskiem Ławica, zbacza nad Sołacz i stąd odlatuje niemal tą samą trasą na zachód.

Dzień był, jak się rzekło, pogodny. Samolot Luftwaffe dokonujący pierwszego lotu bojowego na Poznań (143 dni przed pierwszym września 1939 roku!) widziało wielu ludzi. Ponieważ jednak mieszkańcy zachodnich powiatów Poznańskiego przywykli do regularnych lotów komunikacyjnych heinkli, nawet nie zdali sobie sprawy z jawnie nastawionej odmienności tego „gościa”. Zwiąższa, że do tego dnia, na terenach całego pogranicza z hitlerowskimi Niemcami, nie było jeszcze ani jednego posterunku obserwacyjnego obrony przeciwlotniczej. Najprawdopodobniej więc, gdyby gość z czarnymi krzyżami nie doleciał prowokacyjnie nisko nad samą Ławicą, miejsce postoju 3 pułku lotniczego, nie zostałby w ogóle dostrzeżony. Do piero też po tej „wizycie”, władze wojskowe zarządziły ustawienie na samym lotnisku dwóch dział prze-

ciwlotniczych, przy których zorganizowany został specjalny posterunek obserwacyjny...

Błędnie wszakże został oceniony cel owego nalotu. Bojowy heinkel, wdzierający się demonstracyjnie w głąb terytorium Polski z pełnym oznakowaniem Luftwaffe, miał po prostu zbadać stan polskiej obrony przeciwlotniczej. Sprokować stronę polską do ujawnienia takich ewentualnych przygotowań, które uszły uwadze hitlerowskiego wywiadu. Tymczasem w Poznaniu i Warszawie przyjęto jako pewnik, że był to lot wywiadowczy w celu dokonania zdjęć lotniczych trasy Berlin — Poznań.

Nawet nie przypuszczano, że ta trasa była systematycznie fotografowana m. in. przez tego samego lotnika Luftwaffe, podczas jego lotów nad Polską za sterem komunikacyjnych heinkli „Lufthansy”. I że także reszta terytorium Polski leżąca poza szlakiem regularnej linii komunikacyjnej Lufthansy była systematycznie fotografowana przez samoloty niemieckie, specjalnie dostosowane do lotów na wysokich pułapach, prowadzące też regularne rajdy szpiegowskie, co najmniej od 1934 roku. Samoloty przygotowywane w biurach konstrukcyjnych, później zaś w wytwórniach „samolotów komunikacyjnych”, już przed dojściem do władzy Hitlera, kiedy nie kto inny jak sam francuski marszałek Foch, zapewniał autorytatywnie, iż Niemcy zostały ostatecznie rozbrojone.

Tymczasem właśnie w tym samym roku, kiedy wypowiadał swą opinię Foch, w 1929 roku, ośrodki koncepcyjne Reichswehry, zakończyły wstępne studia nad planem pełnej rozbudowy „zaledwie” 100-tysięcznej i „przestarzałej” Reichswehry w supernowoczesne i milionowe siły zbrojne (Wehrmacht). W tymże 1929 r. przystąpili także do opracowywania szczegółowych wytycznych dla stworzenia w ciągu kilku następnych lat podwalin pod najnowocześniejsze, najsilniejsze na kontynencie europejskim lotnictwo wojskowe.

W roku 1930 zostały przekazane niemieckim wytwórniom lotniczym pierwsze zamówienia na przygotowanie do seryjnej produkcji prototypów samolotów, mających stanowić uzbrojenie przyszłej Luftwaffe. Między innymi biuro konstrukcyjne Heinkla miało opracować ciężki dwumotorowy bombowiec średniego zasięgu. Biuro wytwórni Focke-Wulf — prototyp czterosiłnikowego samolotu dalekiego zasięgu. Junkers — dwusilnikowy średni bombowiec oraz trójsilnikowy samolot bombowo-transportowy. Dornier — super-szybki bombowiec lekki. Wszystkie te samoloty miały być oficjalnie przygotowywane jako komunikacyjne, transportowe, pocztowe. Ich prototypy były też oblatywane jako samoloty cywilne. Wstępne serie wypróbowywane przez pilotów komunikacyjnej „Lufthansy”.

Ponadto zaś, w myśl wytycznych człowiego koncepcjonisty Reichswehry — gen. Fritscha, iż „przyszłą wojnę wygra strona, która zorganizuje najlepszy wywiad lotniczy”, w biurach konstrukcyjnych pracowano intensywnie nad przystosowaniem prototypów do potrzeb „pokojuowego” wywiadu lotniczego. Junkers zaczął też konstruować specjalne samoloty, które dzięki wysokim pułapom

Dokończenie na str. 2

Wacław Okrzyńska

Chemia na świątecznym stole

Zdarzyło się to kiedyś w domu, a ściślej — w kuchni kierownika pewnej fabryki cukrowniczej. Pani domu, sięgnawszy do starych przepisów, wyszykowała świąteczną babkę — z tych, co to przy nich ani palić ani hałasować, ba, nawet mówić głośno nie wolno. A już, broń Boże, „zaziebić!” Składniki ciasta zgadzały się, pół kopy jaj ubito do białości, osuszono makę podgrzano drożdże... wszystko na nic — babka nie wyrosła...

Dramat z happy endem

Zrozpaczona pani pobiegła po radę do fabryki. Działo się to w marcu, który w owym roku był wyjątkowo chłodny. Pani spojrziała z przerażeniem na majstra, który kazał jej... przynieść ciasto do fabryki. Co miała zrobić? Przyniosła. Majster uderzył kilkakrotnie pięścią w ciasto, zamieszał, dodał amoniaku... Kazał odnieść ciasto z powrotem do kuchni. Wyrosło. Babki były „na medal”.

To przypomnienie przedświątecznego dramatu z happy endem ma służyć jako wymowna ilustracja do roli chemii w naszej kuchni (majster powiedział wówczas owej pani, że ciasto nie może się nie udać, jeśli do niego zabierze się „fachowiec”...). Czy wobec tego koniec z przepisami prababek? Ależ nie, one właśnie korzystają z owej mądrości ludu, na której często opiera się współczesna chemia czy farmacja. Tyle, że gospodynie stosują owe przepisy na ślepo, przyjmując „na

wiarę”, że trzeba postępować tak, a nie inaczej. Stają więc bezradne, gdy przy realizacji przepisu zdarzy się jakieś zakłócenie, tak jak to było w opisanym przypadku.

Chemik natomiast wie, dlaczego ciasto rośnie lub nie wyrasta i zna również tajniki innych procesów kulinarnych, odbywających się w naszych kuchniach (modne w gastro nomii słowo „receptura” nabiera w tym świetle swoistego sensu).

Ciasto świąteczne i inne wyrabiane według setek różnych przepisów, rozróżnionych czy oszczędnościowych, do których doszliśmy własną inwencją, podlega różnym niebezpieczeństwom. Może nie wyrosnąć lub przerosnąć, może w nim wytworzyć się zakalec, może się przypalić, pozostając wewnątrz niedopieczona...

Napełnić ciasto powietrzem

Samo wymieszanie składników ciasta, to jeszcze nie wszystko. W tej uciążliwej czynności chodzi o napełnienie naszego ciasta powietrzem. Oczywiście, wyrośnięcie ciasta zależy nie tylko od wyrośnięcia ale i od jakości drożdży czyli od zachodzących w nich procesów fermentacyjnych, w toku których wydzielanie się pęcherzyków dwutlenku węgla powoduje, że ciasto rośnie. Jeśli dwutlenek węgla ułotni się z ciasta, na pewno powstanie zakalec. Dzieje się to wówczas, gdy piekarnik jest zbyt gorący, lub niedostatecznie dogrzany. Zakalec w delikatniejszym cieście może powstać i wówczas, jeśli nim potrząśnięmy zbyt mocno. Czyżby prababki miały ra-

Dokończenie na str. 2

Irena Solińska

Nad obywatelskim elementarzem

Ostatnie tygodnie skłaniają wszystkich, którym bliskie są sprawy młodzieży, do baczniejszego przyjrzenia się jej w nieco mniej stereotypowy sposób. Wprawdzie problemy zwane najogólniej wychowawczymi nigdy nie uchodziły uwadze społecznej, wprawdzie nie brakowało dyskusji na temat zaangażowania czy patriotyzmu, lecz może te poczynania były w swej praktyce zbyt szablonowe, a może zbyt powierzchowne, skoro wydarzenia pierwszej połowy marca wykazały, że pewna część tej młodzieży jest podatna na wrogię Polsce Ludowej podszepty. Wychowawców i rodziców sygnał ten musi skłonić do przemyśleń nad spłotem zagadnień, z których kwestia kształtowania postawy ideowej wyłania się na plan pierwszy. Przy czym nieodzowny jest wspólny front domu i szkoły nie tylko w dziedzinie wyników w nauce, czy zachowania, ale także w przyswajaniu naszym następcom celów i dążeń, dla których warto żyć i pracować.

Jak wiadomo, w ostatnich klasach szkół średnich wprowadzono nowy przedmiot „Wychowanie Obywatelskie” (w zreformowanej szkole podstawowej obowiązuje on także w klasach VII i VIII). Ma on zaznajamiać młodzież z ogólnymi prawami rozwoju społeczeństw, z aktualnymi problemami społeczno-politycznymi kraju i świata, a równocześnie pomóc młodemu człowiekowi w procesie formowania jego własnej postawy, jego sylwetki moralnej zanim jeszcze opuści mury szkoły z patentem dojrzałości.

Trudno w jednym artykule omówić plusy czy minusy praktyki szkolnej w realizowaniu programu wychowania obywatelskiego, zwłaszcza, że jest to — z formalnego oczywiście punktu widzenia przedmiot nowy. Spróbujmy raczej zebrać garść uwag dotyczących podręcznika przeznaczanego dla klas XI liceów ogólnokształcących i ostatnich klas techników, a więc dla młodzieży, która z zawartymi w nim wiadomościami rozpocznie wkrótce bądź samodzielnie pracę, bądź starać się będzie o przyjęcie na studia, czy do szkół pomaturalnych.

Podręcznik ten obowiązuje od września, wydano go w ponad 350 tys. egzemplarzy.

W jednym z ostatnich numerów „Głosu Nauczycielskiego” ukazała się ocena I części podręcznika zawierającej „Podstawowe wiadomości o społeczeństwie i prawach jego rozwoju” a opracowane przez doc. dr Z. Baumana i prof. dr J. Wiatra. Oto co pisze recenzent:

... „W zasadzie w całości traktuje ono (opracowanie) o walkach jakie ludzie prowadzili i prowadzą ze sobą, o walkach klas, warstw i narodów; o etapach, fazach, zasadach i podłożu walk, o strategii i taktice walki. I można by uznać to za trafne, gdyby wskazano, że poza walką, na życie społeczne składa się jeszcze to i owo, na przykład praca...”

W innym miejscu oceny czytamy:

„Zdziwienie budzi, że we fragmencie, który nosi tytuł „Rola pracy w życiu społecznym” nie tylko nie dano pojęcia pracy, ale nawet ani jeden raz nie użyto tego słowa... Zdziwienie to wzrasta, gdy uświadomić się, że właśnie pojęcie pracy jest fundamentalnym pojęciem w marksistowskiej teorii społeczeństwa; praca, a nie walka, wyjaśnia istotne cechy rozwoju człowieka i społeczeństwa... Pojęcie pracy tkwi u podstaw teorii socjalistycznego wychowania...”

W końcowych wnioskach dotyczących I części podręcznika autor oceny stwierdza:

... „Jak się zdaje, autorzy wyszli z dwóch założeń: założenia negacji obecnej rzeczywistości społeczno-politycznej w kraju, które prowadzi do wykazania konieczności dalszej walki klasowej, nie zaś konieczności zgodnego współdziałania w obrębie społeczeństwa, czemu ma właśnie służyć obywatelskie wychowanie — oraz założenia kosmopolityzmu, prowadzącego do położenia akcentu na więź z innymi narodami, jako na podstawową więź społeczną a nie na identyfikację i więź z własnym narodem...”

Również w jednym z ostatnich numerów dwutygodnika „Wychowanie” natrafiamy na kilka krytycznych uwag pod adresem podręcznika do „WO” — jak go młodzież nazywa. W odniesieniu do drugiego z kolei działu, napisanego przez inną ekipę autorską, czytamy m. in.:

„Chłopstwo przedstawiono dość tradycyjnie, nie uwzględniając w dostatecznej mierze specyfiki rozwoju naszego kraju po wojnie. Dotyczy to szczególnie biedoty wiejskiej, która w pojęciu ekonomicznym w swojej masie przestała istnieć dzięki reformie rolnej, rozwojowi przemysłu i usług, przede wszystkim wkułtek obywatelskiej roli ziem zachodnich i ptn, które wchłonęły najbardziej niebezpiecznych, rozkładających przeludnienie wsi”.

Inna uwaga dotyczy niejasności co do roli klasy robotniczej:

„Autorzy części I podręcznika w sposób dziwny uciekają od tych zagadnień...”

Może ktoś powiedzieć, że nie na podręczniku zaczyna się, czy kończy proces wychowywania. Zapewne, ale... pół biedy, jeśli podręcznik byłby jedynie niedoskonały, pod względem metodycznym. Lecz w książce do „WO”, jak wynika nie tylko z tych kilku przykładów, znalazły się merytoryczne błędy w zakresie spraw społeczno-politycznych (które, jak wiadomo, wiązały się ściśle z kształtowaniem ideowego oblicza młodych obywateli) powielono w 350 tysiącach egzemplarzy! Czy wszyscy nauczyciele, choćby mieli jak najlepsze intencje, są dostatecznie przygotowani do ich sprostowania?

Mamy nadzieję, że władze oświaty we czynią zabieg o wydanie nowego kompendium, a doświadczenie skłoni chyba wydawców do uważnego doboru autorów, oraz sumiennego konsultowania złożonych skryptów. Podręcznik do „WO” ma być przecież czymś w rodzaju elementarza wiedzy obywatelskiej dla wchodzących w życie młodych ludzi, więc na błędy, uniki czy mętne sformułowania nie może w nim być miejsca.



Rys. — EWA PRUSKA

1 specjalnym kabinom, mogłyby uprawiać bezkarnie szpiegostwo lotnicze.

W 1933 roku, kiedy do władzy został dopuszczony Hitler, prace te były na ukończeniu. Junkers zaczął nawet już w 1932 roku seryjną produkcję trzysilnikowego Ju-52. W ciągu niewiele godzin można go było dobroić trzema karabinami maszynowymi, a kabinę dla 17 pasażerów zamienić w luk bombowy, mieszczący 1500 kg śmiertelnie niebezpiecznego ładunku. Pofunny komplet planów Ju-86 zapowiadano oficjalnie i oblatywano jako „szybki samolot komunikacyjny”, zawierał już naniesione rysunki detali, nie mających nic wspólnego z przewozem pasażerów: trzy stanowiska karabinów maszynowych, specjalne kabiny z celownikami bombowymi. Ponadto przewidziano serię Ju 86 P-Z ze specjalnymi kabinami ciśnieniowymi i specjalnymi silnikami, pozwalającymi na dalekie loty na wysokościach powyżej pułapu ognia dział przeciwlotniczych, przeznaczone dla dokonywania lotów szpiegowskich.

★

Zanim wszakże dojrzał konstrukcyjnie model dwusilnikowego samolotu szpiegowskiego, już w roku 1934 zamieniono go w samolot bombowy. Zanim wszakże dojrzał konstrukcyjnie model dwusilnikowego samolotu szpiegowskiego, już w roku 1934 zamieniono go w samolot bombowy.

szpiegowskie skrzydła nad Poznaniem

„Abwehry” wyniki osiągnięte przy pomocy wcześniej skonstruowanego przez Junkersa, jednosilnikowego samolotu szpiegowskiego W 34. Były to zdjęcia wykonane z wysokości 12000 metrów, podczas manewrów wojsk polskich, przeprowadzonych na terenie tzw. korytarza, a więc dzisiejszego województwa bydgoskiego...

MACIEJ OLSZEWSKI

Jerzy Knapik

JEDEN Z WIELU

Leży przede mną zaświadczenie w języku niemieckim. „Reiseausweis nr 1094” z 11 czerwca 1943 r. stwierdzające, że Polak Kazimierz Gacki odbywa podróż służbową do Niżniowa. Prosi się władze o nierobienie trudności. Zaświadczenie to podpisał kierownik „Przedsiębiorstwa Zbiórki Starzyny i Odpadów” w Stanisławowie.

Wiele ostatnio piszemy na temat pomocy udzielanej w czasie okupacji przez Polaków obywatelom polskim pochodzenia żydowskiego. Ludzi, którzy współdziałali w niesieniu tej pomocy nie brak także w Poznaniu i Wielkopolsce. Dzisiaj drukujemy część relacji z rozmowy z inż. Kazimierzem Gackim, pracownikiem Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego w Poznaniu, który w latach ostatniej wojny był oficerem AK. Działal on na terenie dawnego województwa stanisławowskiego, wchodzącego w czasie okupacji w skład tzw. dystryktu „Galizien”.

Rankiem 10 czerwca 1943 r. karawana wozów opuszczała Stanisławów. Wozu były naładowane. Część podróży szła pieszo. Znak gwiazdy 6-ramiennej na rękawach zdradzał ich przynależność narodową. Parę minut po opuszczeniu miasta ciągnęli już traktem na Buczac. Tam mieli zostać zatrudnieni w „Przedsiębiorstwie Zbiórki Starzyny i Odpadów”. Wielka Rzesza Niemiecka potrzebowała surowców; kierownictwu przedsiębiorstwa, złożonemu przeważnie z Polaków, udało się uzyskać zezwolenie na zatrudnienie 50 Żydów w Buczaczu. Wysłano ich ze Stanisławowa z myślą ukrycia ich w pobliskich górskich lasach. A że hitlerowcy zabronili Żydom korzystać z kolei, odbywali wędrowną konną podróż. Polacy z przedsiębiorstwa ekspedowali Żydów z pościelą, jedzeniem, lekarstwami, a także z wszelkimi wskazówkami na to, że władze niemieckie rozpoczną ich eksterminację.

Tego samego dnia w przedsiębiorstwie w Stanisławowie odebrano telefon z filii w Buczaczu:

— Faszysti rozpoczęli u nas rozstrzelanie Żydów, polują na nich wszędzie.

Trzeba było natychmiast podjąć kroki, by kawałkado wozów nie wpaść w ręce oprawców. Ten obowiązek przyjmują na siebie Kazimierz Gacki — robotnik przedsiębiorstwa — a w konspiracji kapitan, adiutant do spraw bojowych 148 pułku piechoty Armii Krajowej.

— Dogonię ich chyba w Niżniowie, przecież to jedyna trzecia drogi — powiedział do współpracowników i współkonspiratorów. Wziął „Reiseausweis nr 1094” i pojechał do Niżniowa. Wóz tam jeszcze nie było. Na pożyczonym od naczelnika poczty — Sawczuka rowerze, dotarł do zbliżającej się karawany. Zatrzymał ją, rozlokował w okolicy. Dopiero po kilku dniach, gdy hitlerowska akcja eksterminacyjna w Buczaczu wygasła, wozy ruszyły dalej. Z Buczacza skierowano je do górskiej miejscowości Jazłowiec, gdzie ludzie z AK w grotach górskich przygotowali schroniska dla ludności żydowskiej. W ten sposób życie 50 ludzi zostało ocalone.

Kpt. Gackiego dobrze znali Żydzi z getta w Stanisławowie. Codziennie

jako zbieracz szmat i złomu przejeżdżał niedostępnymi dla innych ulicami. Na wozie ukrywał masło, wędliny, jaja i wszystko to, co było w zamkniętym getcie potrzebne do życia. Zostawiał żywność przy ul. Hallickiej u Adolfa Zinegera, który rozdysonowywał ją ludności żydowskiej. Od niego kapitan słyszał słowa przestrogi:

— Jak pan coś wiezie, uważaj pan na naszych żydowskich wartowników — w żółtych czapkach. Wszystko donoszą hitlerowcom, a biją nas gorzej niż oni. Do Adolfa Zinegera zachodził Josiek Stern, i Holder, i Zarwa nitzer — wszyscy z Kałusza. W gorącym okresie kapitan przewoził na „lewych” papierach do Jazłowiec Elę Sussmann, by ukryć ją w jaskini.

Leży przede mną zaświadczenie stwierdzające, że kpt. Kazimierz Gacki za swoje czyny zostaje odznaczony Krzyżem Wirtuti Militari V klasy. W uzasadnieniu podkreśla się udział w wysadzaniu w powietrze hitlerowskiego konwoju kolejowego i samochodowego, w likwidacji zastępcy szefa gestapo w Stanisławowie — Schotta, w udzielaniu szerokiej pomocy ludności polskiej i ludności innej narodowości. O jaką narodowość chodziło, nie trzeba tłumaczyć. I dla tego zupełnie zrozumiałe jest oburzenie Kazimierza Gackiego kampanią rozpętaną przez imperialistyczne koła, związane z ośrodkami syjonizmu, przypisującą Polakom zbrodnie hitlerowskie. Trudno się dziwić, że kpt. Gacki — dziś inżynier budownictwa, uznał za potrzebne dać świadectwo prawdzie:

— Mnie i moim kolegom z „Przedsiębiorstwa Zbiórki Starzyny i Odpadów” — żołnierzom podziemia za tę bezinteresowną, humanitarną pomoc dla ludzi zupełnie nieznanych — groziła śmierć. Mimo tego nie wahaliśmy się tej pomocy ludności żydowskiej udzielać. A dzisiaj otrzymujemy podziękowanie od niektórych przedstawicieli tego narodu, którego część tylko dzięki pomocy Polaków przetrwała wojnę.

Tę napaść na nasz naród nie można pominąć milczeniem. Nie można — w imię sprawiedliwości. W obrobie dobrego imienia tych, którzy pomoc udzielali osobom narodowości żydowskiej przypłacił życiem.



Fot. — KAZIMIERZ PRZYCHODŹKI



Chemia na świątecznym stole

Dokończenie ze str. 1

cje, zarządzając ciszę w domu, w czasie pieczenia świątecznych ciast?

Drożdże rozkładają cukier zawarty w mące, powstaje przy tym alkohol i dwutlenek węgla. Gąbczasta struktura ciasta powoduje, że gaz zatrzymuje się w jego otworach, a i samo ciasto broni się przed jego utratą. W odpowiednio rozgrzanym piecyku, szybko pokrywa się skorupką. Warto wiedzieć, że zawdzięczamy to, jak i przyrumienienie naszych placek i bab, procesowi przemiany dekstryn zawartych w mące na cukier, który z kolei pod wpływem gorąca przekształca się w karmel. Wysuszone dekstryny, karmel i ścisły gluten (substancja białkowa, również zawarta w mące) chronią ciasto od nadmiernego gorąca, powstrzymują w nim dwutlenek węgla i umożliwiają ciastu to, czego od niego wymagamy: wyrośnięcie i dobre wypieczenie.

Bigos z kwasem mlekowym

Gospodynie w mieście przeważnie kupują gotowe wędliny, dobre gospodynie jednakże — rezygnując ze zbyt uciążliwego, jak na miejskie warunki, wędzenia — starają się mięso na święta zapiekować. Stare przepisy uczą, że do tego celu używa się odpowiedniej ilości soli, saletry, ziaren jałowca. Od wielu pokoleń robi się to „na oko” i „na wyczucie”, nie zdając sobie sprawy z istoty tego procesu. Chemik natomiast wyjaśnia, że mięso soli się po to, aby je pozbawić zbyt dużej wody i powstrzymać rozwój bakterii. Saletra z kolei zapobiega psuciu się mięsa i przez wywołanie w nim

procesy chemiczne zabarwia je na czerwono i nadaje peklówce świetny, drażniący podniebienie smak.

Podobno nasi chemicy wynaleźli już środek, zastępujący proces wędzenia. Środek ten nie dotarł jeszcze do kuchni domowych, toteż na święta w miastach ograniczamy się do peklówki.

Możemy także wyjaśnić naukowo zakorzenione tradycje nakazujące, aby do świątecznego bigosu wsiąć koniecznie kapustę kiszoną. W toku procesu kiszenia wytwarza się kwas mlekowy, zabijający różne drobnoustroje na liściach kapusty. Do kiszzonej kapusty ponadto dodaje się soli, która również wpływa hamując na rozmnażanie się bakterii. Stąd trwałość świątecznego bigosu, który odgrzewa się bez końca, nawet po tygodniu...

Czy podane wyżej wiadomości są nam potrzebne? Na pewno musi o tym wiedzieć producent ciast, przygotowujący je w dużych ilościach — przecież nie mogą się nie udać! Ale warto wyjaśnić i domownikom celowość owych, niezrozumiałych dla nich, często kwestionowanych czynności: uclerania „do białości”, wyrabiania ciasta „aż zacznie odchodzić od rąk”, gotowania bigosu „aż się zmaceruje”, codziennego przetwarzania peklowanego mięsa w kamiennym garnku itp. Skoro obecnie, w nawale zajęć zawodowych, kobiety oczekują od domowników pomocy w przygotowaniu świąt — niechże pomagają świadomie!

WACŁAW OKRZYNA

NIESPISANA KARTA HISTORII POZNAŃSKIEGO SPORTU

Przejmujący chłód panował 1 kwietnia 1945 roku w Poznaniu. Było to pierwsze święto Wielkanocy. W mieście, które przed kilku tygodniami odzyskało wolność, w którym jedyna wychodząca gazeta (to był „Głos Wielkopolski”) przynosiła nadal relacje z frontów trwającej jeszcze wojny, inaugurowano uroczystości życia sportowego pierwszym turniejem piłkarskim. Kilka tysięcy ludzi zebranych na boisku PWK Arena z niebывалым entuzjazmem witało wbiegające na boisko kolejne jedenastki piłkarskie Dębca, Górczyna, Wildy i Strzeleckiej. Kiedy orkiestra zaczęła grać Mazurka Dąbrowskiego śpiewali wszyscy, że łzami w oczach „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy...” Flagę narodową wciągnął wówczas na maszt zawodnik drużyny Wildy — Piotr Danielak.

Wielu obecnych na tej uroczystości, bardziej patriotycznej i narodowej niż sportowej, do dzisiaj nie wie, dlaczego właśnie grała Wilda, skoro od dwóch tygodni istniała już Warta, dziedzic Górczyna skoro rekrutowano Admirała, dziedzic Strzelecka, skoro powstał już nowy klub Sportowy „Dąb”? Dlaczego flagę wciągał właśnie ten zawodnik? To nie był przypadek. To był akt triumfu nad hitlerowskim dziełem zniszczenia, finał jednej z najpiękniejszych kart historii poznańskiego sportu, a każdy punkt programu miał swoją specjalną wymowę.

Wkroczenie hitlerowców do Poznania we wrześniu 1939 roku było początkiem systematycznego niszczenia wszystkiego, co polskie. Najpierw za-

wiesili najeźdźcy działalność organizacji a następnie nadludzie w mundurach z trupią czaszką na czapkach ścigali i bezwzględnie niszczyli jakakolwiek próbę działania Polaków. Nawet kopanie piłki uznane zostało za niebezpieczeństwo dla III Rzeszy. Niektórzy działacze sportowi przewidzieli ewentualny rozwój wypadków. Zarząd poznańskiej Warty zebrał się w połowie sierpnia 1939 roku i podczas tego posiedzenia postanowiono natychmiast zawiesić działalność klubu do odwołania a najcenniejsze pamiątki i dokumenty klubowe spakowano i oddano na przechowanie.

Terror, aresztowania, czerwone plakaty o egzekucjach za „przygotowania do zdrady stanu” nie odstraszały wielu poznaniaków od podejmowania działalności w konspiracyjnych organizacjach. Sportu, który podlegał tym samym zakazom hitlerowskim, nie można było uprawiać w podziemiu. Działacze mieli więc do wyboru: czekać do wyzwolenia, które nie wiadomo kiedy nastąpi lub grać narazając się na ewentualne represje ze strony okupanta. Wybrano to drugie.

Dawny podział klubowy Poznania zmienił się w geograficzny, bardziej korzystny w obecnej sytuacji. Powstały dzielnicowe organizacje sportowe skupiające znanych już piłkarzy i adeptów tej sztuki, mieszkających w najbliższym sąsiedztwie, w obrębie kilku ulic. Istnieją więc w tym czasie: KS Woźna, Strzelecka,

Wilda, Chwaliszewo, Górczyn, Jeżyce, Strumykowa, Dębica. Jest grupa działaczy kierująca całością rozgrywek, są sędziowie, „zweryfikowano” boiska m. in. na Górczynie, na Winogradach koło hali cepelinowej, przy berlińskich torach na Górczynie, nad Wartą w Dębnie. Byli rospodarcze tych boisk, którzy montowali bramki przed rozpoczęciem spot-

Bogdan Dohnke

WIELKANOCNY

kań (tylko słupki gdyż poprzeczki zastępował sznurek) a po meczach chowali skrzynki sprzęt i zacierali ślady. Znalazły się, zdobyte niemalym trudem, piłki, a niektórzy mieli nawet prawdziwe buty piłkarskie. Spotkania trwały 2 × 30 minut.

Zachęceniu powodzeniem wstępnych rozgrywek w 1940 roku, m. in. turniejów błyskawicznych, działacze zdecydowali się zorganizować mistrzostwa Poznania na rok 1941. Zgłosiło się 8 drużyn. Eliminacje prowadzono w grupach.

Dwa pierwsze zespoły z każdej grupy weszły do finału.

Więść o spotkaniach rozeszła się wśród poznaniaków nadszpiewanie szeroko. Na finałowe mecze mistrzostwa na Górczynie przychodziło już około 5 tysięcy widzów. Ruchy takiej masy ludzi, szcze-

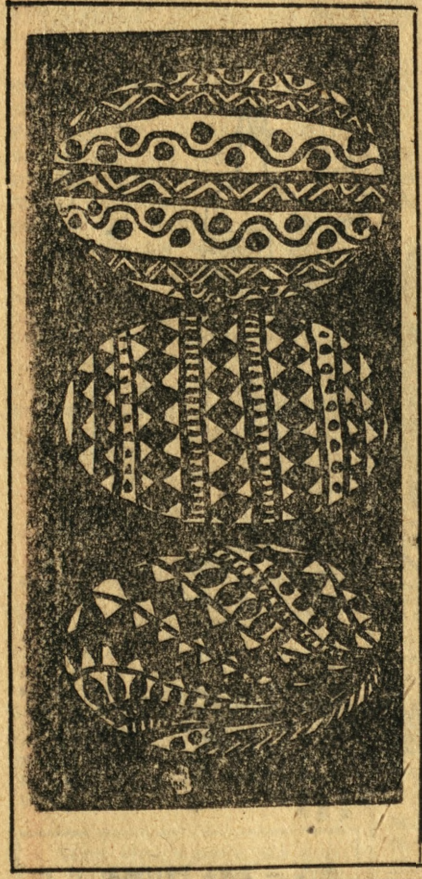
gólnie w środkach komunikacji miejskiej, nie mogły nie zwrócić uwagi hitlerowskiej policji. Burza wiała w powietrzu nie bakel sportu był silniejszy. Do zakończenia finałów pozostała już tylko ostatnia kolejka, gdy do akcji wkroczyła policja.

W niedzielę, 7 września, na boisko na Górczynie, przybyła rekordowa liczba widzów. W połowie meczu zjawił się komisarz policji, który na rozkaz władz wyższych, wydał polecenie natychmiastowego przerwania meczu i opuszczenia terenu przez wszystkich. W poniedziałek boisko zostało przez Niemców zaorane.

Organizatorzy i kapitanowie drużyn zebrał się na konspiracyjnym

spotkaniu w prywatnym mieszkaniu. Co robić? Wobec narastającej fali represji postanowiono zawiesić rozgrywki. Zawodnicy otrzymali upominki zakupione dzięki niezwyklej pomysłowości członków kierownictwa rozgrywek, za pieniądze zebrane podczas spotkań do kapelusza. Na specjalnie wykonany na tę uroczystość miniaturowy maszt wciągnięto biało-czerwoną flagę a uczestnicy spotkania odśpiewali półgłosem „Jeszcze Polska...” Chorażym był Piotr Danielak.

Wobec niewyłonienia mistrza nie wręczono jedynie głównej nagrody —



Anioł w gabinecie

— Jakie życzenie?
— Ja w sprawie zwolnionego Wachowiaka.
— Co dzień to słyszę. Jesteście prokuratorem, czy pracownikiem? Zwolniliśmy! W produkcji talenty demagogiczne nie przydają się na nic. No więc jak?

— Ale moim zdaniem... każda decyzja o zwolnieniu człowieka powinna być rozważana sumiennie.
— Właśnie, właśnie.

— I ja jestem za tym, by ostro tępić przestępstwa, ale przecież on nie złego nie zrobił, a że trochę prawdy powiedział prosto w oczy. W warsztacie pytają: czy dojdzie do naprawienia wyrządzonej mu krzywdy?

— Proszę zastanowić się Kielniewicz.

— Wszystko w życiu się kończy. Kończy się też zaufanie panie prezesie Liberman.

— Wiem, wiem! Podburzać ludzi, to najłatwiejsza robota.

— Nie mam potrzeby buntować, buntują istniejące tu stosunki.

— Nie strasz mnie, człowieku. Znam takich, co umierali z przestraszenia, z samego tylko przestraszenia. Ale nie ja! No, jeśli jest nie do smaku, można sobie iść na cztery wiatry.

— Nie rozbraiał, mówił tylko prawdę. I miał rację. Ile maszyn rdzewieje? Oliwa się rozlewa, farba, brud gdzie okiem spojrzeć...

— Tu nie szpital! Ja was nie poznaję. Coś z waszym zdrowiem ostatnio nie tego.

— Czemu? Jestem człowiekiem normalnym. Jestem zdrowy. Ludzie mówią jeszcze o czymś innym.

— Po co mieszacie się nie do swoich spraw. Po co? Jeszcze się doigracie. Radzę nie bawić się w obrońcę. To już przechodzi granice mej cierpliwości. Będę musiał was wyprosić. Ja tu rządzę, ja odpowiadam! Ja przyjmuję! Ja...

— Wiecują, tylko wiecują. Mowy polityczne, oświadczenia, rezolucje. A dla człowieka nic.

— Odkłóć te gazety! Mam z wami ważniejsze sprawy do omówienia. Siadajcie, kawa stygnie.

— Ordynarny kawał.

— Coś tam wyczytał. Jaki znów kawał? Dlaczego milczysz? No język ci przysroś?

— Koledzy, wyraźna na nas nagonka.

— Pesymizm, całą twarzą przebiega... Nastawił się na wykrywanie mierz, czipów w krwioobiegu naszego życia.

— Komu to potrzebne? Komu? To polityczna sprawa!

— O! Grozi nam! Ale wyników ekonomicznych nie podaje, cwana bestia, tylko klimat? A klimat to sprawa dyskusyjna, bo go nie sposób ani zmierzyć, ani zważyć.

— Hm, hm... Wniosek pismo o sprostowanie. A jeżeli nie odniesie skutku, oddam sprawę do sądu. No co sądzicie? Ruszcie rozumem! Trudniejsze byłyby sytuacje, nieprawda Lewenberg?

— Najbezszybciej w świecie wypaczył oczywiste fakty. Nalapał pcheł i... ale, co też powiedzą pracownicy?

— O to, najmniej obawy, ich zdaniem to bagatela. Grunt się nie załamywać. Wszystko się wyjaśni, rozjeżdż po kościach. Wiem, że nie jest dobrze, ale wcale nie jest tak źle. Zawsze był w tyle. Milczał, a teraz krzyczy; my rządźmy!

— Ja już piastuję kierownicze stanowiska od 20 lat i posiadam wrodzony talent do rządzenia... A teraz miałbym się obawiać takiego paszkwilu. Nie zdołają zagubić mojej przeszłości, nie pozwolę podespać tego, co w moim życiu było piękne...

— Trzeba podnieść krzyk! Jak możemy pracować, gdy prasa nas szarga, podważa autorytet.

— Kochani! Kochani, to nie taka prosta sprawa. Oni też potrafili się bronić!

— Kto?

— Dziennikarze. Zareplikują, napiszą; bez krytycznego spojrzenia nie można przezwyciężyć błędów... Nawet skłonni są nas posadzić o partykularyzm.

— Jestem przekonany, że nasz przyjaciel Gutner nie pozwoli sobie nadebrać na odciśnięcie. Ta sprawa wywoła protest, wrzawę!

— Zaraz odpiszę do Gazety.

— Bardzo słusznie Liberman.

— Wiecie co... gadać jest łatwiej, ale napisać trudniej.

— A może odpisać; że wyciągnęliś my konstruktywne wnioski? Jeszcze nas pochwalą.

— Słuszna myśl.

— Tak sądzicie? Zmęczyłem się. Po prostu brak mi sił. Nic z tego... Mam ważniejsze sprawy do załatwienia.

— Nie denerwujcie się. Rozmawiałem z Gutnerem. Dobrze mieć zawsze kogoś w rezerwie.

— A ja myślę tak. Trzeba faceta usadzić, powiedzieć mu: takiś Kielniewicz mądry, wszystkich krytykujesz, a ty bracie też grubo jesteś nie w porządku! Zamknij usta! Daję gwarancję!

— Mówcie przyjaciele, mówcie, bo mamy tych samych wrogów. Kielniewicz weźmiemy na rozmowę, niewiele poczuje, kto tu rządzi. My musimy przesłuchiwać, a nie oni nas. No powiedzcie jeszcze coś świeżych, śmiałych myśli...

— A może zwrócić się z prośbą do Gutnera o dodatkowe myśli?

— Głupie żarty!

— O, już późno! A więc co dalej? Proponuję monopolowy relax w „Me lodi”, tylko nie kupaj, pojedynczo. Gliksmanski idź już, zamów ten stolik... No ten od ogrodu. On jest

taki miłutki... Za jakiś kwadrans przyjdę.

II

— Słuchaj, czy ciebie nie ogarnia czasem strach? Czy nie żałujesz, jeśli coś zrobisz złego?

— Nie! Na taki luksus mnie nie stać.

— A więc mam genialny pomysł! Napiszę artykuł pt. „Anioł w gabinecie”.

— Oczywiście, genialny pomysł, powiedziałabym nawet: ekstragenialny. Słusznie mówi Lewenberg, sukcesy nie spadły z chmur.

— Można będzie napisać „Anioł w gabinecie”, bo Liberman ma czyste ręce.

— Zgoda! Zgoda! Na zdrowie kolegów... dobrych przyjaciół... Jestem wzruszony.

— Krytykować, to każdy potrafi. Ale gdyby taki dziennikarz był w naszej sytuacji, przecież istnieją trudności...



Rys. - LUDOMIR KAPCZYŃSKI

— A więc dochodzi problem trudności, ale jakich?

— Problem zatrudnienia...

— Trzeba przyjąć taktikę obietnic. Jakiej sprawy nie poruszają, wyrazić zgodę. Nie będą pisać anonimów, nie będą skarżyć, szeptać po kątach...

— To jest niebezpieczna gra, jeśli nie ma pokrycia... Piekło można stworzyć.

— Z sytuacji zawsze można wyjść, po czasie można powiedzieć: „przynajmniej się do winy”, „nie dopilnowałem”, „zapomniałem”.

— Co za obyczaje nastały?

— No to, gruch!

— Koledzy! Musimy zwolnić tempo. Jak ja się upiję, kto będzie was wówczas bronił?

— Ale powiedzcie, kto najbardziej tak ryje? Kto najwięcej podskakuje?

— No wymyślcie coś jeszcze.

— Najlepiej byłoby zwołać zebranie, odczytać artykuł i niech się wszyscy wypowiadają.

— Jeśli zdecydujemy o zebraniu, to musimy szybko działać, bo sekretarz partii przychodzi za trzy dni i zwoła partyjne zebranie i pranie będzie. Musimy uprzedzić go, rozładować atmosferę.

— A Kielniewicza proponuję wysłać jutro po blachę.

— Daj morderczym Lewenberg! Kapitałny pomysł! Premię masz ode mnie. Premię! No to na zdrowie.

— Jutro puszcza pogłoskę, że pracowaliśmy do późnej nocy, nad rozdziałem premii. To wpłynie pozytywnie na klimat. Każdy chce coś otrzymać, zamiast krytykować, będzie chwalił. Taka jest już natura ludzka.

— Lewenberg ma złote myśli. Każdy wie, że za krytykę nie kupi, a może się narażać. Zmęczyłem się oiekiełnie. Co za niespokojne życie. Walka... Sprawy... Nie chodzi mi o własny spokój. Nie mam go i mieć nie będę. Dlaczego ten dziennikarz, właśnie się do mnie przyczepił? A może moja twarz mu się nie podoba? No dajmy salwę.

— Niestety, bardzo trudno jest przeżyć życie bez błędów.

— Dopiero teraz prezes Liberman...

— Musimy powiedzieć: „Ogromnie mi przykro, obywatelu Kielniewicz, ale zmuszeni jesteśmy was zwolnić”.

— Ale kto mu to powie?

— Myśmy powinni mieć takiego faceta na etacie, który by tego typu sprawy nam załatwiał i pełnił funkcje agitatora naszych pociągów. Na niego, by wieszali wszystkie psy.

— Mam takiego, sekretarza partii. Podprowadzimy go, powiemy, że to sprawa, polityczna, moralna itp.

— Rzeczywiście! Niech to zrobi sekretarz, to jest jego rola.

— Można po prostu zwolnić go za niewywiązywanie się z obowiązków.

— Z Kielniewiczem tak łatwo nie pójdzie.

— Może coś ukradnie.

— Z nim to trudno, on się nie zęszwini, nie kradnie.

— Prezesie, nie pijmy już więcej, skoro mamy pracować. Ja już jestem kompletnie pijany.

na ogół nic nie mówią o ich pracy, bo o przyjętych pracownikach trzeba mówić dobrze. Brudów nie ma co ukrywać. Dziś wszystko wygarnę. Osądźcie, czy słusznie zwolniono Wachowiaka?

— Niesłusznie! Nie możemy pozwolić na tak skandaliczne traktowanie.

— Nie pozwolimy!

— Klika rządzi!

— Czy tak można osądzać? Ludzie opamiętajcie się!

— E, co mu tam zrobicie. Broni go Gutner!

— Chwali się.

— Gdzie jest prezes?

— On demonstracyjnie nie przyjdzie. Zobaczycie... Nie przyjdzie.

— Prezes w każdej chwili powinien przyjść. Nie trzeba się tylko denerwować.

— Buntujecie, Kielniewicz. Jesteście wszyscy w wodzie gorącej kapali. Urządźcie kłótnie.

— Nie chcę nic ukrywać!

— Nie jest źle, wygadają się przed zebraniem, później będą milczeć.

— Niejednokrotnie prosiłem prezesa o łagodniejszy sposób postępowania. A jednak stale odzywa się do nas wulgarnie... Okropna atmosfera. Czy nieprawda?

— Nie wtrącam się.

— Mnie nie jest wszystko jedno! Prezes zwolnił dobrego pracownika.

— Mnie możesz nie agitować. Ja mam swoje zdanie, swoje poglądy.

— Ale przecież zwolniono niesłusznie człowieka! Jak tak można! Gdyby wszyscy milczeli, nie wtrącali się...

— Kielniewicz, co ty chcesz ode mnie, ja mam żonę i dzieci.

— Godzisz się w imię świętego spokoju z panoszącym złem. Prezes przestał być człowiekiem, jakim znałmy go poprzednio.

— I coż robić z takim?...

— Idzie prezes Liberman!

— Chciałbym was przeprosić za swoje spóźnienie. Wynikało ono z potrzeby załatwienia pilnych spraw, których niestety nie mogłem przełożyć. Rozmawiałem z Gutnerem i załatwiłem pomyślnie sporo spraw! A dzisiaj tematem naszego zebrania będzie przeanalizowanie artykułu jaki ukazał się w Gazecie...

— Przeżywamy wielkie dni! Proszę o waszą opinię! Proszę o głos!

— Ja! Wypożyczę się maszyną i sprzęt różnym prywatnym osobom, za które w większości pobierają pieniądze do własnej kieszeni...

— Protestuję! Protestuję!

— Proszę nie przeszkadzać! Nie skończyłem jeszcze!

— Pracownicy wiedzą dużo, ale obawiają się oficjalnie wystąpić, a to z powodu utraty pracy. Wszyscy się lekają, wszędzie mają „chody” jak mówią i nikt nie jest w stanie im nic zrobić.

— Dlaczego mi tego w oczy nie mówią? Dlaczego nie są szczerzy?

— Co z Tobą?

— Serce...

— Tyle razy mówiłem żebyś uważał.

— Nie masz przy sobie lekarstwa?

— Zapomniałem.

— Co z Tobą? bądź dzielny!

— Duszno! Ciemno w oczach... Bardzo boli... Straszny ból... Ach...

— Liberman, Liberman!

— Ratunku!!! Pomocy!!!

— Umarł! Ach! Ach! Kto by się tego spodziewał!

— Taki zdrowy chłop.

— Wprost nie do wiary! Jeszcze wczoraj...

— Strata niepowetowana, niepowetowana.

— Wciąż był zapracowany. Teraz przestał cierpieć... Nie mogę w to uwierzyć.

— Nie należał do najgorszych...

— Liberman! Liberman żyjesz?

— Żyje...!

— Kto prosi o głos? Kto zgłasza się do dyskusji?

— Ja! Drodzy koledzy i koleżanki! Dzisiaj wszyscy jesteśmy podekserwowani, niespokojni i w takiej atmosferze możemy podjąć nierozsądne, niesprawiedliwe decyzje. Dlatego też proponuję odłożyć dzisiejsze zebranie i powrócić do tych spraw za tydzień!

— Czy są inne wnioski?

statuetki legendarnego Prometeusza przykutego kajdanami do skały. Chłopcy walczący o to trofeum nie znali antycznego mitu o Prometeuszu. Ze skutym człowiekiem utożsamiali naród polski, któremu na jeźdźca nałożył kajdany. Symbolikę tę widzieli w owej rzeźbie także ci, którzy znali legendę o Prometeuszu. Masowe wysiedlanie poznańskich rodzin w inne rejony, przymusowe wywołanie młodzieży do pracy na terenie Rzeszy i osiedlanie się Niemców w Poznaniu — stwarzały coraz mniej korzystne warunki do podejmowania jakiegokolwiek działania. Infiltracja polskich środowisk przez

ność wykazali piłkarze jeżyccy. Nie wydali nikogo i tym samym nie została rozszyfrowana organizacja mistrzostw, w których zaangażowanych było ponad sto osób. Ten fakt przesądził ostatecznie o rozstaniu poznańskiej młodzieży z piłką podczas okupacji.

W Wielkanoc, 1 kwietnia 1945 rozpoczął się nowy rozdział poznańskiego sportu. Rozpoczął się od... dokonania rozgrywek okupacyjnych. Klu by zrezygnowały ze swych barw i ambicji. Jeszcze raz wybiegły na boisko reprezentacje dzielnic i ulic. Kolejność wejścia na boisko była taka sama jak w tabelce finałów z 1941 roku. Flagę wciągał na maszt chorągwa konspiracyjnego spotkania działaczy i kapitanów zespołów. Statuetkę Prometeusza zdobyła Wilda. Nagroda, ta do dzisiaj stanowi jedną z najcenniejszych pozycji w zbiorach KS Warta.

BOGDAN DOHNKE

P. S. Okupacyjne rozgrywki piłkarskie w Poznaniu sa od pewnego czasu przedmiotem szczególnych badań autora artykułu. Każdego kto dysponuje jakimikolwiek wspomnieniami, dokumentami, zdjęciami lub innymi materiałami prosimy o nawiązanie kontaktu z Działem Sportowym „Głosu Wielkopolskiego” Poznań, ul. Grunwaldzka 19, tel. 611-21.



Rys. (3) - EWA PRUSKA

FINAL

agentów gestapo była coraz większa. A jednak znaleźli się ludzie, którzy jeszcze raz zaryzykowali.

Był rok 1943. Rozpoczęto od spotkań towarzyskich. 15 maja Strzelecka wygrała z Łazarzem 3:2 a tydzień później zremisowała w WKS-em 2:2. Wbrew temu co nakazywała ostrożność wznowiono jednak mistrzostwa. Tym razem skład osobowy inicjatorów był inny. Nie kończono więc finałów przerwanych w 1941 roku, ale „rozpisano” nowe mistrzostwa, do których zgłoszono aż 12 drużyn. Podzielono je na trzy grupy eliminacyjne i 13 czerwca rozpoczęły się mecze mistrzowskie. Jak było do przewidzenia nie trwały one długo. Jeszcze w tym samym miesiącu policja hitlerowska otoczyła boisko, podczas jednego ze spotkań, zniszczyła piłki a drużyny Jeżyce zabrano do obozu w Żabikowie. Wyjątkową solidar-

WITKACY W „MARCINKU”

Od lat ambicje Teatru „Marcinek” idą w kierunku pozyskiwania także i widzów dorosłych. Często nawet i na spektaklach adresowanych wyraznie do najmłodszych można tu spotkać widzów przychodzących bez dzieci, z samej tylko ciekawości poznania tego typu teatru. W profilu artystycznym tej sceny jest bowiem coś z teatru awangardowego preferującego wartości niezwykłe, o bardziej oryginalnym i twórczym piętynie inscenizacyjnym. W Poznaniu odczuwa się brak sceny eksperymentującej, teatru propozycji — adresowanego do widzów bardziej wyrobionych teatralnie, o dłuższym stażu kibicowania na widowni. Sporadycznie tego typu teatr próbuje robić zespoły studenckie. Jest więc rzeczą co najmniej sympatyczną, że ten trud w jakimś sensie przejmują na siebie nie zobowiązani w zasadzie do tego niczym mała scena lalkowa „Marcinka” angażująca się coraz bardziej w uprawianie artystycznego teatru nie tylko dla dzieci i młodzieży.

Po „Łaźni” Majakowskiego „Marcinek” wystąpił obecnie z kolejnym spektaklem dla dorosłych. Jest to montaż dwóch sztuk Stanisława Ignacego Witkiewicza: „Mątwy” i „Szalonej lokomotywy” przygotowany równolegle w wersji lalkowej i przez aktorów żywego planu. Nie sposób już dziś właściwie odkrywać twórczości teatralnej Witkiewicza. Nikt z pisarzy dwudziestolecia międzywojennego nie doczekał się w ostatnich latach tylu opracowań krytycznych co właśnie niemal całkowicie zapomniany do 1956 r. autor „Mątwy” i „Szalonej lokomotywy”. Sztuki jego jeszcze dziesięć lat temu zaliczane do całkowicie niezrozumiałych zjawisk literatury tzw. „czystej formy” cieszą się obecnie w naszych teatrach całkiem dobrą frekwencją i, jak to wskazuje przykład „Marcinka”, torują sobie także drogę na scenę lalkową. Podobnie jak w przypadku „Łaźni” i te sztuki wystawione zostały w Poznaniu na zasadzie prapremiery w teatrze lalkowym. Nasuwa się więc od razu pytanie: w jakim stopniu forma teatru lalkowego jest tu w zgodzie z dramaturgią Witkiewicza, czy przed teatrem lalki rzeczywiście otwiera się szansa adaptowania dla swych potrzeb tak bardzo dziś dyskusowanego dorobku literackiego autora „Szewców”. Wydaje się,

że sprawa ta nie przedstawia się jeszcze dość prosto. Teatr Witkiewicza na pierwszy rzut oka rzeczywiście zbliżony jest do form kabaretu marionetek. Przede wszystkim ma charakter z gruntu antypsychologiczny. Bohaterowie Witkiewicza nie zmieniają swych cech psychicznych w trakcie spektaklu, są w ogóle raczej tylko figurami retorycznymi, prezentując jak w starej komedii dell arte określony typ postaci. A to wszystko na pewno świadczy właśnie na rzecz teatru lalkowego. Za tą formą inscenizacji przemawia też niebawem bogactwo fabuły, przemawiają wszystkie zaskakujące widza wolty i zmiany sytuacyjne, które tak bardzo lubi przecież teatr lalkowy. Trudno jednak za pomocą lalki pokazać wszystkie złożone nastroje i podteksty, a przede wszystkim całą Witkacowską perwersję i erotykę, tak ogromną rolę odgrywającą we wszystkich jego sztukach. To po prostu pozostaje jak sądzą poza możliwościami teatru lalki. Dlatego też mimo całego uznania dla lalkarskiego kunsztu realizacji „Mątwy” muszę przyznać, że wyżej osobiście cenię opracowaną w wersji teatru żywego planu inscenizację „Szalonej lokomotywy”.

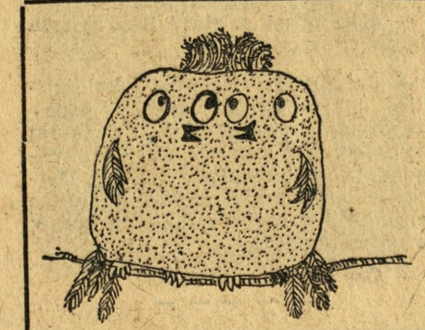
Przedstawienie „Marcinka” jest jednak jako całość artystycznie ciekawe. Teatr poznański w miarę swoich możliwości postarał się stworzyć sztukom Witkiewicza jak najlepszą (z reguły bardzo dobrą w tym teatrze) oprawę plastyczną i muzyczną. Troska o sprowadzenie nowego i odmiennego wymogu aktorskim widownia też jest tu wyraźnie w aktorskiej interpretacji tekstu. Pewien niedosyt budził tylko styl interpretacji niektórych ról w „Mątwie”, w której aktorzy nie wykorzystali chyba w pełni efektu wyobcowania postaci przez podkreślenie ich antypsychologicznego, marionetkowego charakteru. Niezłe role zapisało na swym koncie w tym przedstawieniu jednak kilku aktorów. Przede wszystkim Stanisław Słomka Rakowski (Tengier), Maria Korzeniowska (Julia) i Wojciech Barcik (Wojtaszek).

Teatr Lalki i Aktora „Marcinek”: „Mątwy” i „Szalonej lokomotywy” S. I. Witkiewicza-Witkacego w reżyserii Leokadi Serafinowicz i scenografii Jana Berdyszaka. Muzyka: Jerzego Miliana. Premiera 6 kwietnia.

Przeglądamy Prasę METAMORFOZY

„Zadziwiające, jak ludzie potrafią zmieniać skórę. Muszę powiedzieć — pisze RYSZARDA KAZIMIERSKA w „ŻYCIU WARSZAWY” (nr 89, C) — że aż włos zjeżył mi się na głowie po przestudiowaniu pewnej listy. Listy ludzi, których uważałam za swoich rodaków, piastujących — coż tu kryć — raczej eksponowane i odpowiedzialne stanowiska: w wojsku, partii i państwowych instytucjach. Ludzie, którzy sami nazywali się komunistami”.

Autorka przedstawia następnie takich ludzi, którzy dzisiaj zajmują poważne stanowiska w armii izraelskiej, a kiedyś przed 1956 r. byli oficerami Wojska Polskiego. „Oto oni: ppłk. Bolesław Bergelson z Wojskowej Akademii Technicznej, Abram Edelsberg — oficer KBW, mjr. Henryk Flaszner — pracownik Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, ppłk Norbert Garniok z Instytutu Naukowo-Badawczego Wojsk Lotniczych, mjr Michał Góra z II Oddziału Sztabu Generalnego WP, ppłk Ludwik Grudfeld — szef sztabu tyłów KBW, kpt. Krystian Halski z II Oddziału Sztabu Generalnego, ppłk Michał Hopman — zastępca dowódcy Okręgu Wojskowego Warszawa, plk. Stefan Sarnowski — zastępca Szefa Głównego Zarządu Informacji WP, plk. Leopold Strasser — szef katedry taktyki ogólnej w Akademii Sztabu Generalnego, plk. Kazimierz Wajs —



„WILCZE ECHA”. Film produkcji polskiej. Scenariusz: Danuta i Aleksander Ścibor-Rylski. Reżyseria: Aleksander Ścibor-Rylski. Zdjęcia: Stanisław Loth. Muzyka: Wojciech Kilar. Wykonawcy: chorągry Słowina — Bruno O’ya (głos: Bogusław Bilewski), Tekla — Irena Karel, Witold — Zbigniew Dobrzyński, Aldek Piwko — Marek Perepeczek, Lyczar — Ryszard Pietruski, Moron — Mieczysław Stoor, major Grabie — Andrzej Szalowski, Tosiek — Bronisław Pawlik, gospodarz — Janusz Kłosiński, Bartek — Zdzisław Kuźniar, Dwidzius — Leopold Nowak, Misio — Ryszard Ronczewski, Fijawka — Stanisław Łopatowski i inni.

Aleksander Ścibor-Rylski mówiąc o swoich ostatnich filmach wyraził się następująco: „...pierwszą pretensją, jaką należy mieć do reżysera, jest brak widzów... Mam nadzieję, że w „Mordercy” i w „Wilczych echach” widownia znajdzie to, czego jej potrzeba”. Dalszy ciąg tej wypowiedzi wskazuje jeszcze wyraźniej, że reżyser jest z siebie zadowolony, uważa, że znalazł właściwą formę i trafili w najbardziej powszechne gusta.

Ścibor-Rylski podjął tematykę dramatycznych dzieł Bieszczad w latach czterdziestych, tuż po wojnie, gdy teren był penetrowany przez banderowców, gdy mord i pożoga były na porządku dziennym, gdy o życiu decydowała silna pięść i celną rewolwer. Władza państwowa przez parę lat powojennych nie była tam zbyt pewna, lepiej było liczyć na samego siebie niż na posterunek MO adzień w dalekim miasteczku. Nigdy nie można było być

Mieczysław Skąpski

Polski western

pewnym czy posterunek ten jeszcze istnieje. Taka właśnie sytuacja jest w naszym filmie. W zniszczonym miasteczku Derenica posterunek MO został zlikwidowany przez grupę Moronia — groźnego bandytę. Banda w milicyjnych mundurach próbuje odgrywać rolę prawowitej władzy, by osiągnąć swój cel — zdobyć skarb Tryzuba czyli kasę jego sołtisa ukrytą w jednym z podziemnych bunkrów.

W tak zarysowaną akcję wkracza chorągry Słowina, zwolniony z wojska za nieprzestrzeganie dyscypliny, chłop na schwał, zadziorny, bitny, czujący się w atmosferze niebezpiecznej przygody jak ryba w wodzie. Słowina zna Bieszczady jak własne podwórko, Słowina bije się jak mały chłop, a strzela szybko i bez pudła. Słowina gra Bruno O’ya — aktor estoński, mający wszelkie walory potrzebne bohaterowi westernu.

A więc samotny awanturnik, lubiący przygodę i walkę o prawo, a więc walki, pościgi, konie i rewolwery, wspaniałe plenery bieszczadzkie, kolor i szeroki ekran. Czyli polski western całkiem dobry. Niestety nie, choć, jak widać, w filmie pozornie jest wszystko czego trzeba westernowi. Jednakże same akcesoria nie tworzą jeszcze filmu, nie dają atmosfery autentyczności i dramatyczności. Choć nie należy się obawiać, że trzeba

będzie wytykać reżyserowi brak widów, można wyrazić zdziwienie, że spodziewa się on, iż widownia znajdzie w jego filmie to właśnie, co jej potrzeba. Trzeba powiedzieć, że nie ocenia on naszej widowni zbyt wysoko.

Jak się wydaje jest to pogląd wśród polskich reżyserów nie odosobniony. A przecież ostatnie lata świadczą o dużym wzroście poziomu polskich kinomatów, dowodem jest powodzenie szeregu filmów „nowowalowych”, o trudnej narracji.

Zbyt niskie ocenianie naszej widowni prowadzi do tego, że takie „Wilcze echa”, mające wszelkie dane na dobry western, stają się miejscami parodią westernu, niektóre ujęcia budzą prosto śmiech (a miały niewątpliwie wywołać grozę), pewne sceny rażą przesadnym nieprawdopodobieństwem. Zawiodło niestety w pierwszym rzędzie reżerskie rzemiosło.

Jednocześnie jednak film zawiera dość materiału dowodowego na to by stwierdzić, że okres pierwszych lat powojennych na terenie Bieszczad stanowi kopalińnię materiału dla wielu jeszcze filmów o charakterze przygodowym, a jednocześnie niosących niemały ładunek wiedzy o naszej najnowszej historii. Szkoda, że próba Ścibora-Rylskiego nie jest bardziej udana.

Sukces nowej metody

„KOBIETA I MĘŻCZYŻNA” — film produkcji francuskiej. Scenariusz Claude Lelouch i Pierre Uytterhoeven. Reżyseria i zdjęcia: Claude Lelouch. Muzyka: Francis Lai. Wykonawcy: Anne Gauthier — Anouk Aimee, Jean — Louis Duroc — Jean Louis Trintignant, Valerie Duroc — Valerie Lagrange, kierowniczka szkoły — Simone Paris, Pierre Gauthier — Pierre Barouh, Antoine Duroc — Antoine Sire, Francoise Gauthier — Souad Amidou. Grand Prix i inne nagrody na festiwalu w Cannes w 1966 roku, Oscar dla najlepszego filmu zagranicznego wyświetlanego na amerykańskich ekranach, Oscar za najlepszy scenariusz oryginalny i wiele innych nagród.

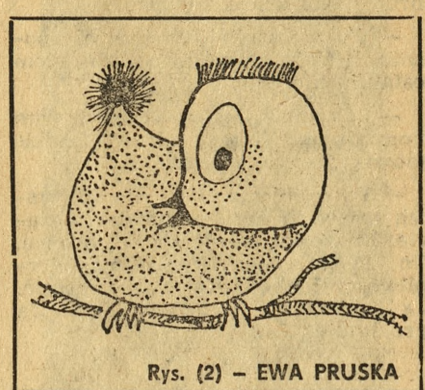
Film Leloucha obsypano nagrodami. Film ten jest oczywiście sukcesem metody twórczej „nowej fali”. Metody polegającej przede wszystkim na improwizacji. Reżyser ma mieć jedynie ogólny pogląd na to, co chce zrobić, szczegóły winien wymyślać na planie. W „Kobiecie i mężczyźnie” Lelouch nie zapoznał nawet aktorów z całością swojego przewidywanego scenariusza, każdemu z osobna proponował tylko co chciałby widzieć w najbliższym ujęciu. Dialogi polecił im improwizować. Kazał im się więc zachowywać jak zwyczajnym ludziom, którzy przecież nie wiedzą w szczegółach jak im się ułoży życie w ciągu najbliższych dni, a nawet godzin. Stąd ta niesłychana w filmach prawdziwość dialogów. Są jak w życiu: banalne, nieskładne, chaotyczne, urywane, czasami pasjonujące, dowcipne.

Oboje głównych aktorów też jest właśnie jak z życia wziętych. Są niezwyczajnie naturalni, prości, nie zgrzywają się. Zostali osadzeni bardzo mocno w swoich środowiskach zawodowych, co

jest wyjątkiem w całej produkcji filmowej, w której z reguły nie widzimy bohatera w jego miejscu pracy. Tutaj może połowa filmu dzieje się właśnie tam i nie ma szczególnego związku z głównym tematem, którym jest miłość. Jest to miłość dwojga dorosłych ludzi, mających dzieci, owdowiałych. Temat jak z kiepskiego melodramatu. Ale rzecz tu, jak powiedzieliśmy, nie w temacie, lecz w metodzie twórczej. Bo z byle tematu można zrobić arcydzieło, a kicz z niesłychanie frapującego dramatycznie wątku.

Metoda ta — poza wspomnianą improwizacją — polega też na robieniu bardzo krótkich ujęć i na tzw. nerwowym montażu, w którym ciągle przepływają się wątki, myśl nie znajduje zakończenia, a już pojawia się coś z innej beczki, wątek główny przepływa się z pobocznymi, w to wszystko wpadają obrazy z krajobrazu, czasy są pomieszane, raz jesteśmy w teraźniejszości, raz w przeszłości. Czyli tak jak to jest ze strumieniem naszych myśli, chwilami nad nim panujemy, wtedy gdy staramy się coś gruntownie przeżyć, poczem myśli hasają sobie swobodnie wokół spraw dzisiejszych i wczorajszych, wokół najróżniejszych, często zupełnie bezdurnych problemów. Metoda „nowofalowa” to jak gdyby fotografowanie strumienia myśli. Stąd ów pozorny chaos, jakieś rozredganie, nerwowość.

Lelouch próbował tej metody już wcześniej. Bez sukcesów. Tutaj udało się mu zastosować ją doskonale. Odpowiada ona nerwowemu tempu naszych czasów, temu, co człowiek na co dzień ogląda, jak żyje. Współgra z tym znakomicie zastosowany kolor, zmieniający się zależnie od nastrojów bohaterów, kolor — samodzielny czynnik



Rys. (2) — EWA PRUSKA

filmu. Podobnie jest z dźwiękiem. Oprócz świetnej muzyki Lelouch stosuje w szeregu ujęć wyłącznie dźwięki naturalne, nagrywa więc to, co słychać na stadionie wyścigowym czy też co słychać na planie kręconego filmu. Podnosi to ogromnie wrażenie autentyczności.

Przy tych wszystkich znakomitościach, przy podziwianiu podczas projekcji technicznych walców filmu, pozostajemy jednak raczej obojętni wobec miłosnych perypetii bohaterów. Jest to też charakterystyczna cecha utworów „nowej fali” (vide filmy Godarda). Trudno nam, widzom, zaangażować się uczuciowo, pozostajemy chłodni, obojętni. Czy to też signum temporis?

Wreszcie chciałbym zwrócić uwagę na bardzo istotny brak w prezentacji tego filmu w Polsce — powinien on być koniecznie zdubbingowany. Robi się to przy filmach o wiele mniejszego kalibru, nie zrobiono tutaj, gdzie krótkie ujęcia, nerwowy, szybki dialog, zmieniające się kolory napisów — często uniemożliwiają czytanie. Nadto czytanie odciąga nas od smakowania wszystkich tych oszalałych barw, odrywa od obserwacji tak ważnych tutaj szczegółów.

Izraela około 40 tys. Żydów z Polski. Wśród nich sporo było towarzyszy partyjnych, komunistów, którzy przez wiele lat sprawiali wrażenie ludzi na trwałe związanych z naszym ustrojem i krajem.”

Dzisiaj znowu z arsenału propagandy antypolskiej wyciągnięto straszak antysemicki.

„A niechże sobie straszą — pisze Ryszarda Kazimierska. — Ludzi, którzy czują się Polakami i którzy nasz kraj wybrali za swoją ojczyznę — nie przestraszą”.

LINIE FRONTU

To tytuł artykułu redakcyjnego dwutygodnika „Współczesność”. Redakcja sięga w nim do źródeł obecnych wydarzeń.

„Chodzi — czytamy — o całą — nie tak znów niewielką — kategorię działaczy, których w dawnych latach połączyła grupowa wspólnota interesów, chęć utrzymania się przy władzy i jedna taktyka rozgrywek”.

Po XX Zjeździe KPZR, kiedy zdemonstrowano metody rządów Stalina, ludzie upojeni dotychczasową władzą ani myśleli o rezygnowaniu z niej. Postanowili usadowić się na fali autentycznego ruchu społecznego i podryfować na niej ku dalszej działalności. Znikły najbardziej skompromitowane nazwiska, ale bynajmniej nie wszystkie. Ci ostatni zawierają niezwykle sojusze. Bo nie o poglądy im chodziło — te stanowiły tylko środek walki.

„Wszystko po to — czytamy — aby utrzymać się przy władzy. Aby przetrwać okres przejściowy, umocnić się w nim, znowu osiągnąć przewagę sił — i wtedy uderzyć. Na razie muszą przeczekać.”

Więc choć już w marcu 1956 r. mają własnego kandydata na najwyższe stanowisko partyni — jest nim Roman Zambrowski — nie dysponując jeszcze potrzebnym oparciem, co uwiadamia się na VI Plenum KC, robią raptowny zwrot taktyczny. Nieomal z dnia na dzień zmieniają skórę. Najbardziej zagorzali zamordysty — jawią się jako liberalne baronki. Protagonisci metod stalinowskich — jako ofiary stalinizmu. Najbardziej bezwzględni „ustawiacze” środowisk inteligentnych — jako ich „rozumiejący” opiekunowie. Najbardziej obrońcy monopolu światopoglądowego — jako zwolennicy „pluralizmu” i wartości. Wielu z nich jest pochodzenia żydowskiego; i to także wykorzystują w rozgrywece: rozprzestrzeniają pogłoski o rzekomym antysemityzmie, każdy głos krytyki kierowany w ich stronę odbija się o tę zresztą wynalezioną tarczę.

W lipcu 1956 roku podejmują jeszcze jedną próbę utrzymania hegemonii: głosem Stefana Staszewskiego sprzeciwiają się powrotowi potężnej grupy „odchyleńców” z tow. Władysławem Gomułką na czele. Kiedy manewr ten zawodzi — jeszcze raz zmieniają front. Ale ma to być tylko etap przejściowy, zwykłe zagranie taktyczne, które, jak sądzą, uda się niedługo porzucić. Już przed wyborami do Sejmu w 1957 r. rozpoczynają szerzyć perfidne hasło: Gomułka zdradza idee Października.

Dla nich przełom październikowy był bowiem tylko „taktycznym zwrotem”, grą o władzę — ich świadomością graczy obca była rzeczywistym dążeniom klasy robotniczej i narodu.

I pozostała obca”.

„TREND ANTYINTELIGENCKI”?

W artykule pod powyższym tytułem Krzysztof Teodor Toeplitz zajmuje się

na łamach „Kultury” kilkoma sprawami związanymi z chwilą obecną, przeżywaną przez przedstawicieli środowisk inteligentnych. Pierwszą nauką — według autora — wynikającą z obecnych wydarzeń — jest kompromitacja nieodpowiedzialności, jest włożenie osłej czapki na łeb megalomanii „kawiarnianych polityków”.

„Jest to oczywiście wniosek — czytamy — najbardziej spekulacyjny, ale nie jedyny. Wśród tych kręgów mówi się o „trendzie antyinteligentnym”, o wrodzonej jakoby niechęci popaździernikowego kierownictwa do intelektualistów. Jako takich i że owa niechęć wyładowała się w dniach ostatnich. Takie stawianie sprawy jest po prostu nieuczciwe. Czy słyszało się o podobnej niechęci przed październikiem? Czy spotykało się wówczas tak nagminnych głosicieli tego odkrycia? Wolne żarty. Większość obecnych głosicieli „trendu antyinteligentnego” wyładowała się być wówczas usatysfakcjonowana. Cena zadowolenia była wówczas zawstydzająco niska i bardzo prywatna, i doprawdy nie sposób o niej wspominać bez gorzkości. Oprócz zaś tej niskiej i prywatnej ceny istniał zwyczajny strach — doraźna serwilizmu.

Gdy po październiku ów strach opadł, liczba niezadowolonych zaczęła rosnąć z dnia na dzień. Mimo otwartego pola dla twórczych poszukiwań. Mimo odsłonięcia słynnej „żelaznej kurtyny”. Mimo szacunku wobec wartości, dla istnienia narodu podstawowych.”

O tym wszystkim nie można dzisiaj zapominać po prostu w imię uczciwości, tej uczciwości, której nie jedynym tak dziwnie teraz brak.

LEKTOR